

ANNA ŁACINA

ZADZWOŃ,
KOCHAM CIĘ

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017
Text © copyright by Anna Łacina 2017

Projekt okładki *Joanna Gwis*

ROZDZIAŁ I

Sobota, 25 czerwca 2016

I.

Weronika zakochała się podczas dogrywki meczu Polska–Szwajcaria.

Miłość spadła na nią jak letni deszcz, gwałtowny i długo wyczekiwany po fali dusznego upału; deszcz, który nie pyta o pozwolenie, tylko wylewa się przez rozdzielane błyskawicami niebo szumiącym wodospadem, ogarnia i zatapia wszystko. Ignoruje peleryny i parasole, moczy włosy, twarz, dłonie, płynie chodnikiem jak rzeka, wlewa się do butów, wpada za kołnierz i nie ma sposobu, by się przed nim zabezpieczyć.

Oczywiście, można siedzieć w domu, obserwując ulewę przez szybę. Ale jeśli ktoś decyduje się wyjść akurat w czasie burzy, z pewnością nie wróci do domu suchy.

Kiedy Szwajcaria remisowała z Polską, niebo pociemniało, zerwał się wiatr, więc Weronika szybko zdjęła z balkonu pranie, które wywiesiła na początku drugiej połowy. Zdziwiła się, że już wyschło, nie minęło nawet czterdzieści pięć minut. Kiedy je segregowała, za oknem rozpętało się pandemonium.

Błyskawice co chwilę rozjaśniały niebo, po szybach spływały strumienie wody, drzewa chłostane deszczem biły niskie pokłony, rośliny w skrzynkach porzuciły leniwą vegetację i próbowały wyrwać się z korzeniami z rozmięklej ziemi, jakby chciały polecieć do Francji obejrzeć dogrywkę.

Weronika patrzyła na tonące w strugach deszczu osiedle i nagle głośno wciągnęła powietrze.

– Dziadek siedzi na ławce – powiedziała ze zdumieniem.

Ojciec i Maks, wpatrzeni w telewizor, nie zareagowali.

– Dziadek siedzi na ławce – powtórzyła. – W taką ulewę...

– Jaki dziadek? – zdziwił się ojciec. Mecz właśnie się skończył, więc co nieco zaczęło do niego docierać. Maks nadal wgąbiał się w ekran.

– No ten... – Nie wiedziała jak go określić, chociaż niemal codziennie widywała go z okna, kiedy drobniutkim kroczykiem, wsparty na lasce, powoli przemierzał osiedle. Charakterystyczne szuranie rozlegało się kilka razy dziennie, gdy dokąś szedł lub skądś wracał. Weronika, mijając go na ulicy czy w sklepie, parę razy spełniła jego prośbę, by coś mu przynieść, podać albo kupić. Nie wiedziała, jak się nazywa ani gdzie mieszka, sam czy z kimś, był po prostu częścią krajobrazu. – No ten... – powtórzyła. – Co tak wolno chodzi. Pewnie nie zdążył do domu przed burzą. Siedzi na ławce.

Ojciec podniósł się z kanapy i zerknął przez okno.

– Rzeczywiście... – mruknął. – Teraz to już po ptokach. Ale leje! Chyba oberwanie chmury.

– Przecież nie można go tak zostawić! – oburzyła się. – Maks – szturchnęła brata – chodź, weźmiemy parasole i zjedziemy do niego. Trzeba mu jakoś pomóc.

– Daj spokój! – Maks machnął ręką, jakby oganiał się od natrętnej muchy. – Pewnie specjalnie tak siedzi, ma darmowy prysznic i pralnię. Ciepło jest, nic mu nie będzie.

– Oszalałeś?! Wcale nie jest ciepło! Zbieraj się! – Szturchnęła go mocniej. – Idziemy! To starszy człowiek.

– Ale co mu pomożesz jak już jest cały przemoczony?
– Spojrzał na nią z politowaniem. – Przecież on chodzi pół centymetra na godzinę! Zaniesiesz go? – Popukał się w czoło i wrócił do kontemplacji telewizora. – Nawet jeśli mieszka

dwa kroki stąd – dorzucił – to zanim się dowlecze, skończy się dogrywka! Dziadkowi nie pomożesz, a sama zmokniesz.

Weronika gniewnie zacisnęła usta. „Dogrywka”! Zabrała z przedpokoju największy parasol i wybiegła z domu. Trudno. Sama sobie poradzi.

Kiedy otworzyła drzwi klatki schodowej, zrozumiała, że się przeliczyła. Mimo to brnęła przed siebie, wspierając się na parasolu jak na lasce. Nawet nie próbowała go otwierać. Miała wrażenie, że znalazła się nie na osiedlu, ale na środku wzburzonego morza. Woda zalewała ją ze wszystkich stron, wiatr szarpał i popychał. W pewnej chwili tuż obok niej wylądował z trzaskiem spory konar. Przyśpieszyła kroku. Nie, nie zawróci, nie ma mowy! Maks śmiałby się z niej przez miesiąc i wyzywał od naiwnych idealistek albo Matek Teres.

Skręciła za róg i wreszcie znalazła się wewnątrz nieforemnego kwadratu, w jaki ustawiono budynki, więc szło się trochę łatwiej. Kątem oka zarejestrowała obecność jeszcze kogoś, kto wybiegł z sąsiedniego bloku i pochylony parł w stronę ławki, na której, nawet oślepiona deszczem, wciąż mogła dostrzec nieruchomą sylwetkę dziadka. Weronika też zaczęła biec.

Dopadła ławki chwilę po niespodziewanym sprzymierzeniu; teraz, z bliska, mogła dostrzec, że to chłopak. Pochylony nad staruszką o coś się dopytywał.

Razem pomogli dziadkowi się podnieść i pod osłoną parasola Weroniki ruszyli powolutku drogą między blokami. Chłopak trzymał parasol w mocnym uścisku, nie pozwalając, by wiatr wyrwał mu go z ręki albo przewrócił na lewą stronę. Co prawda nie zabezpieczało to nikogo przed zacinającym ze wszystkich stron deszczem, ale przynajmniej dziadkowi nie lało się już na głowę. Po nieskończeniu długim marszu znaleźli się przed drewnianym domkiem na tyłach ulicy Leśnej. Na pewno powstał w czasach, gdy budowa osiedla Karolin nikomu się jeszcze nie śniła.

– Bój się Boga, panie Stasiu, jest pan po prostu cały mokry!
– wykrzyknęła korpulentna kobieta, gdy tylko weszli na zapuszczone podwórko. Stała na progu, w otwartych drzwiach, z naręczem grubych ręczników, podskakując z niecierpliwości.

Weronice skojarzyła się z piłką plażową w niebieskie i białe pasy.

– Już się po prostu zastanawiałam, czy po syna nie dzwonić, ale zanimby dojechał, to już pewnie przestałoby padać – mówiła, równocześnie wciągając ich do środka, podając im ręczniki i usiłując największym owinąć pana Stasia. – Stańcie na tej szmacie, bo przecież ze wszystkich was po prostu się leje! Podłoga się, że tak powiem, wypaczy. Trochę pana Stasia doglądam – wytłumaczyła – bo jego syn w Poznaniu, po prostu nie ma, że tak powiem, czasu, wiadomo jakie tam tempo życia, praca, a on się do syna nie przeniesie, bo i po co? Po prostu nie przesadza się starych drzew. Tam by, że tak powiem, zawadzał, a tu ma swój pokój i jakby go tak nie nosiło, to po prostu w ogródku by przecież mógł posiedzieć, czy ja mu bronie? No kto to widział, panie Stasiu, na taki deszcz!

– Kiedy wychodziłem, była piękna... – bronił się dziadek, ale pani nie dopuściła go do głosu.

– Szybciutko teraz gorąca, że tak powiem, kąpiel! Po prostu widziałam przez okno, że idziecie, to już napuściłam wody – wyjaśniła. – A potem, że tak powiem, do łóżka, bo się pan, panie Stasiu, po prostu przeziębili! A wy się wytrzyjcie w kuchni – wskazała uchylone drzwi po prawej – tam już stoi dla was, że tak powiem, gorąca herbata, śpieszcie się, zanim wystygnie, tylko nie wiem, w co byście się, że tak powiem, suchego mogli przebrać...

– Nie trze... – zaczął chłopak, ale i jemu pani nie pozwoliła dokończyć zdania.

– Żadne „nie trzeba”! Nie trzeba to się, że tak powiem, krygować, przecież na tę ulewę nie wyjdziecie, bo jeszcze was, po prostu, szlag trafi! – Zaśmiała się. – Pioruny wałą niby gdzieś dalej, ale burza dopiero się, że tak powiem, przybliży, po prostu liczyłam sekundy, więc wiem. Ja muszę teraz zająć się panem Stasiem, a wy do kuchni i niech mi żadne się nie waży wyściubiać nosa na tę pompę!

Ruszyła w kierunku łazienki, w której już zniknął owinięty ręcznikiem dziadek.

– Teraz grzecznie, po prostu, poczekacie – dorzuciła zachęcająco, odwracając się jeszcze ku nim, jakby chciała sprawdzić, czy wykonują polecenie – a kiedy skończę z panem Stasiem, poczęstuję was ciasteczkami.

– „Kiedy skończę z panem Stasiem”... – szepnął chłopak, gdy znaleźli się w kuchni. – Ciasteczka pewnie z arsenikiem.

Weronika przestała wycierać włosy i po raz pierwszy mu się przyjrzała. Wydał się jej znajomy, chociaż nie umiała skojarzyć, skąd go zna. Może z widzenia, mieszkają przecież w sąsiednich blokach.

– Czy my się... – zaczął chłopak i umilkł, marszcząc brwi. – Wiem! – wykrzyknął. – „Wera drzwi otwiera”! Chodziłaś do przedszkola na Zawadach, prawda?

– Winiu?! – Właściwa szufladka w głowie wreszcie się otworzyła. – Winiu Klamka!

Przed oczami stanął jej obraz chuderławego szczerbulca od starszaków, który popychał ją na zjeżdżalni. I któremu zabrała foremki i ukradkiem zakopała w piaskownicy. Znalazła je Ola Zajac i nie była skłonna oddać. Winiu Klamka musiał poszukać sobie innej zabawki.

Z dawnego Winia pozostało charakterystyczne przy-mrużenie oczu, kiedy się uśmiechał. I sam uśmiech, lekko asymetryczny, chociaż już nie szczerbaty. Ale teraz chłopak

przewyższał ją prawie o głowę, a pod mokrą koszulką widziała rysujące się mięśnie.

On też chyba coś dostrzegł pod jej mokrą sukienką, bo popatrzył tak, że nagle poczuła się nieswojo, a potem oboje uciekli spojrzeniem.

– Tu jest ta herbata – wybąkała.

– Uhm. – Szybko podszedł do stołu.

Usiedli naprzeciwko siebie, dziwnie speszeni.

– Właściwie co to za imię „Winiu”? – rzuciła, by przerwać krępującą ciszę. Herbata była mocno ciepła, ale nie gorąca. Weronika z przyjemnością upiła łyk.

– Taki film kiedyś leciał: *Historia żółtej cizemki*. Moja mama była fanką i już całe wieki temu postanowiła, że nazwie swojego syna Wawrzyniec. Wawrzus – dorzucił, krzywiąc się. Wsypał dwie łyżeczki cukru do szklanki i zamieszał.

– Wolisz „Winiu”?

Potrząsnął głową. Poczuli kilka drobnych kropeł na policzkach, jedną na wargach. Odważyła się spojrzeć mu w oczy. Szaroniebieskie, przyjemnie kontrastowały z opaloną twarzą. Dziwne, w przedszkolu nie zauważyła, że Winiu ma takie ładne oczy.

– Wawrzyniec... – Na próbę wymówiła jego imię. – Podoba mi się.

Niemal poczuła zapach rozgrzanej słońcem Grecji, wawrzynowego żywopłotu w którymś ze zwiedzanych miast, laurowych drzew we Włoszech. Przypomniała sobie gorzki i nieco cierpki smak na języku, kiedy zerwała jagodę wawrzynu, myśląc, że to może oliwka.

Uśmiechnął się do niej.

– Pomału zaczynam się do niego przyzwyczajać. Nawet lubić. Zwłaszcza odkąd dowiedziałem się trochę o moim patronie. To jednak musiał być megagość, skoro potrafił żartować, leżąc na rozpalonej kracie.

Za oknem błysnęło, a zaraz potem przewalił się grzmot.

– A przy okazji – dorzucił Wawrzyniec – wiesz, że liście laurowe miały chronić dom przed piorunami?

– To dlatego wybiegłeś na tę burzę?

Roześmiał się.

– Znasz pana Stanisława? – uchwyciła się kolejnego tematu.

– Tylko z widzenia, a ty?

– Też. Kiedy zobaczyłam, jak tak siedzi... w tej ulewie...

Potwierdzająco skinął głową.

– Nie oglądasz Euro? – zdziwiła się, myśląc o Maksie.

– Oglądam. – Spojrzał na zegar. – Dwadzieścia po – westchnął. – Pewnie już po dogrywce. Wymknę się, co? Usprawiedliwisz mnie przed gospodynią.

– Idę z tobą, ona jest gorsza od mojej matki! Że tak powiem, po prostu zagada mnie na śmierć.

Parsknęli cichym śmiechem, jak spiskowcy, a potem, nie umawiając się, równocześnie wstali od stołu i na palcach podkradli się do drzwi.

Z łazienki dobiegał szum wody i monolog.

– Teraz! – powiedział bezgłośnie Wawrzyniec. Chwycił w jedną rękę stojący w kącie parasol Weroniki, drugą ręką wziął ją pod ramię i oboje wypadli na szalejącą ulewę.

2.

– Możesz przeczekać deszcz u mnie – zaproponował, kiedy dobiegali do jego bloku.

Weronika powinna poczuć się urażona. Co za: „możesz”? Jakby ona się napraszała, a on łaskawie pozwalał. Powinna uprzejmie podziękować i skrócić w stronę swojej klatki, tymczasem zdrowy rozsądek i konwenanse pewnie były z lukru,

bo rozpuściły się w deszczu. No przecież ma prawo odwiedzić kolegę z przedszkola? Zapytać co u niego, powspominać stare czasy... Pewnie ze dwanaście lat się nie widzieli!

Mieszkanie wyglądało inaczej, niż się spodziewała. Zupełnie nie z tej epoki. Mebłościanka z telewizorem, stary komplet wypoczynkowy, kryształowa patera pełna przykurzonych sztucznych owoców, ława typu jamnik nakryta kordonkową serwetą i szklaną taflą. Na ławie napoczęta torebka chipsów – jedyny współczesny akcent – i szklanka w plastikowym koszyczku.

Wawrzyniec od razu podskoczył do włączonego telewizora, gdzie na ekranie ciągle biegali piłkarze.

– Jeden jeden – rzucił podekscytowany, zupełnie nie zwracając uwagi na mokre ślady, które zostawiał na wykładzinie i wytartym dywanie. – Sto dziewiętnas... – zaczął i umilkł, przygryzając wargi.

Weronika przyglądała mu się z rozczuleniem. Wpatrywał się w ekran, jakby od tego zależało jego życie. Widziała podobne zachowania u Maksa i ojca, ale żaden z nich nie poświęciłby dogrywki, żeby wybiec w deszcz.

Wawrzyniec wydał z siebie długie westchnienie ni to ulgi, ni to zawodu i opadł na kanapę.

– Koniec meczu. Będą karne. Kurczę, gdyby Piszczek... mało brakowało. – Potrząsnął głową i chyba przypomniał sobie, że jest cały mokry, bo wstał i szybko otworzył jedną z szafek meblościanki.

Weronika zauważyła różnokolorowy stos ręczników. Chłopak wybrał dwa najgrubsze ze środka sterty. Kiedy je wyciągał, inne pospadały na podłogę, ale w ogóle się tym nie przejął.

– Proszę! – Nie odrywając wzroku od ekranu, podał jej wielki płaszcz kąpielowy z kapturem, sam owinął się drugim i znów siadł przed telewizorem.

Rozsądek i duma Weroniki krzyczały, że powinna wyjść jak najprędzej, jest tu zbędna, ale druga część rozsądku uspokajała, że byłoby to najgłupsze wyjście w historii. W tym puszystym płaszczu kąpielowym czuła się tak ciepło i bezpiecznie, dlaczego miałaby teraz pchać się na deszcz? Poza tym dokąd się śpieszy? Do ojca i brata tak samo wpatrzonych w ekran? Pewnie by jeszcze zażądali herbaty albo nawet kolacji, a żadnemu nie wpadłoby do głowy podać jej ręcznik. Tymczasem Wawrzyniec zrobił to, mimo karnych.

– Lewandowski... – budował napięcie komentator. – Ależ pięknie!!! Mamy remis!

– Jeden jeden. – Wawrzyniec rzucił jej radosne spojrzenie i znów wpatrzył się w telewizor, bo do strzału przygotowywał się kolejny Szwajcar. – Jest! – wykrzyknął, kiedy tamten chybił.

Weronikę bawiło przyglądanie się jego emocjom. Widziała, jak wstrzymuje oddech przed strzałem, jak bezwiednie zaciska kciuki, kiedy strzela Polak, przygryza wargi, marszczy brwi...

– Jeeest! – wykrzyknął chyba razem z całym osiedlem. Zerwał się z miejsca. – A jednak! Jesteśmy w ćwierćfinale Euro!

W telewizorze komentator coś krzyczał na coraz wyższych tonach, piłkarze cieszyli się i obejmowali, a Wawrzyniec niespodziewanie chwycił Weronikę i... uściskał.

– Po raz pierwszy w historii, rozumiesz to?!

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko się uśmiechnęła.

„ZNALAZŁA SIĘ w jego ramionach”. W ilu książkach czytała to zdanie? Ale dopiero w tej chwili dotarł do niej jego sens. Znalazła się. Wreszcie. A do tej pory nawet nie wiedziała, że się zgubiła.

*

„*Coup de foudre* – przemknęło jej przez głowę. – Uderzenie pioruna”.

Chyba rzeczywiście musiał ją niepostrzeżenie trafić, kiedy tak biegali w deszczu tam i z powrotem, bo czuła się dziwnie. Jakby miała za chwilę zemdleć albo zasnąć, a jednocześnie nigdy nie była równie przytomna, jak w tej chwili.

Chciała powiedzieć, żeby tak na nią nie patrzył, ale nie mogła wydobyć głosu z zupełnie suchego gardła. Uciekła spojrzeniem i zaraz zatęskniła do widoku szarych oczu Wawrzyńca. Podniosła wzrok.

„No przecież nie może mnie pocałować, nie całuje się nikogo na pierwszej randce, zresztą to nawet nie jest randka... – Wiedziała, że jeśli za chwilę coś się nie wydarzy, pocałuje go pierwsza, a to już byłaby totalna klęska. – Odkąd się znalazłam, jestem zgubiona”.

Nigdy dotąd nie całowała się z żadnym chłopakiem. Tak wyszło, nie trafił się nikt na tyle sensowny, by Weronika chciała się z nim umówić na drugą randkę, a na pierwszej całować się przecież nie wypada. Zresztą, nie oszukujmy się, ile tych pierwszych randek miała w życiu? Cztery? Pięć? Same nieciekawe, więc nawet gdyby wypadało, żadna siła nie skłoniłaby jej do pocałunku. Umawiała się z nadzieją, że może potem zaiskrzy, ale nie iskrzyło. Więc w końcu przestała się umawiać.

Tymczasem to, co działo się teraz, to nawet nie było iskrzenie.

– Muszę iść – wyszeptała. Wysunęła się z jego ramion, zostawiając w nich tylko ręcznik, i zanim Wawrzyńiec zdołał cokolwiek powiedzieć, ona już była po drugiej stronie drzwi. Zbiegła po schodach, nie oglądając się za siebie. Szła powoli, okrężną drogą, pozwalając, by deszcz splukał z niej wszystkie emocje.

I dopiero kiedy naciskała klamkę swojego mieszkania, przypomniała sobie o parasolu.

„Jak Kopciuszek, cholera” – pomyślała i poczuła niespodziewaną radość.

3.

„Odkąd się znalazłam, jestem zgubiona” – ta myśl kołatała w głowie Weroniki przez cały wieczór. Nie wypłoszyły jej ani docinki Maksa, ani milczenie ojca, ani gadanie matki, która akurat wróciła z zebrania i oczywiście zdążyła zobaczyć ją całą przemoczoną.

Weronika mogłaby sobie to zdanie zapisać, zrobić z niego sygnaturkę, może nawet rozwinąć w wiersz, ale nigdy nie pisała wierszy i nie zamierzała teraz zaczynać.

„Zrób coś dobrego, a kara cię nie minie” – kto to powiedział? Wańkowicz? Tak twierdzi matka, powtarzająca tę maksymę średnio trzy razy w tygodniu. I wychodzi na to, że ma rację.

Gdyby Weronika nie wybiegła w deszcz ratować zupełnie obcego dziadka, nie spotkałaby Wawrzyńca i jej dni toczyłyby się stałym rytmem, może bez fajerwerków, ale za to przewidywalnie i pewnie.

Mogłaby chociaż tego żałować, tymczasem co chwilę łapała się na tym, że się uśmiecha. Albo krzywi na wspomnienie swojej haniebnej ucieczki.

Zrezygnowała z kolacji i wymawiając się złym samopoczuciem, zaszyła się w swoim pokoju. Ciemność ukryła i uśmiech, i błyszczące oczy, i pojawiające się znienacka zdradzieckie rumieńce.

A może to rzeczywiście zwyczajna gorączka, tak jak twierdziła matka, wmuszając w Weronikę aspirynę oraz herbatę z miodem i cytryną?

Nie. Czowała, że wcale się nie przeziębila.

„Nic mi nie jest, mamusiu. Po prostu poraził mnie piorun”.
Ciekawe, jak matka zareagowałaby na coś takiego.

„Przecież to Winiu Klamka – próbowała sobie tłumaczyć.
– Zwyczajny kolega z przedszkola”.

Jak to możliwe, że w ogóle go zapamiętała? Bo że on ją zapamiętał, wcale Weroniki nie dziwiło. „Wera się wydziera”, „Wera drzwi otwiera”, „Weronika w majty sika”, „Weronika-skarżypyta”... Ciekawe, czy pamiętał wszystkie przezwiska i tylko z grzeczności ich nie zacytował, czy naprawdę zostało mu w pamięci wyłącznie to jedno. Córka pani z kuratorium nie mogła być lubiana. Co z tego, że matka wtedy zajmowała w kuratorium najpośledniejsze stanowisko? Wystarczyło, że pracuje w tej instytucji, by niektóre panie bardzo chciały się Weronice podlizać. A Weronika wtedy jeszcze nie wiedziała, jakie są konsekwencje takiego „wyróżnienia”.

Winiu Klamka. „W co się uderzyłeś? W klamkę”. Nawet go nie spytała, jak naprawdę ma na nazwisko.

„Wera, śpij wreszcie” – powiedziała do siebie, ale równie dobrze mogłaby zapragnąć lewitacji. Chociaż kto wie, czy w jej obecnym stanie lewitacja nie okazałaby się łatwiejsza.

Nie ma mowy, nie zaśnie, póki nie rozplącze i nie uporządkuje kłębiących się w niej emocji. Pozwoliła sobie na rozpamiętywanie ostatnich wydarzeń, scena po scenie: szaroniebieskie oczy, uśmiech, dotyk jego ręki, kiedy uciekali przed panią Piłką Plażową, ciepło jego ciała, gdy biegli ramię w ramię, bok przy boku, nie zadając sobie trudu, by otworzyć parasol, przecież i tak byli przemoczeni. Brakowało jej powietrza, biegł za szybko, zauważył to i zwolnił, dostosowując swoje tempo do jej możliwości.

Potem puszysta szorstkość ręcznika, zapach lawendy... Ręczniki Wawrzyńca pachną lawendą? I właściwie dlaczego był sam w domu, a mieszkanie sprawiało wrażenie dawno nieużywanego?

I ten moment, kiedy ją przytulił. Zdziwienie w jego oczach, jakby się zastanawiał, skąd się wzięła w jego ramionach, i... co on takiego miał w spojrzeniu, co nawet teraz sprawia, że serce Weroniki bije mocniej, oddech przyśpiesza, a całe ciało ogarnia dziwna słabość?

Właściwie dlaczego go nie pocałowała?

Ze strachu? Czego miałyby się bać?

Bo nigdy wcześniej tego nie robiła? Kiedyś, w szóstej klasie, zastanawiały się z koleżankami, czy nie powinny się podszkolić, żeby wiedzieć, jak się zachować, gdy przyjdzie co do czego. I wtedy Natalia, która miała dwie starsze siostry i brata, powiedziała, że oni wszyscy, zapytani, mówią to samo: „Dziewczyno, wyluzuj. Kiedy przyjdzie co do czego, na pewno będziesz wiedziała, co robić. Poczujesz to”.

Poczuła to. Jak nigdy wcześniej. Więc czemu uciekła? Czy nie właśnie dlatego? Żeby nie zepsuć?

„Żeby on się o mnie starał – przyszła nagła jasność. – Bo to mężczyzna ma się starać i pokazać, że jest porządny”.

A więc chciała, żeby Wawrzyniec okazał się tym jedynym?

„Teraz?! – przeraziła się. – Na rok przed maturą?!”.

Przecież miała plany: skończyć szkołę z jak najlepszymi ocenami, które otworzą jej drogę na studia jak najdalej od domu. Musi znaleźć kierunek, którego nie ma w Poznaniu, żeby wyprowadzka była nieunikniona. Skończyć dobre studia z możliwie wysoką lokatą, by szybko znaleźć pracę i już nie wracać do zapyziałych Koziegłów, zrządzącej matki i przyklejonego do fotela ojca.

Chłopak z Koziegłów ani nawet z Poznania nie mieścił się w tych planach. A chłopak tylko na rok to strata czasu.

„A może on studiuje albo będzie studiował gdzieś daleko? – rozmarzyła się. Wtedy nie tylko nie pokrzyżowałby jej planów, ale wręcz dopomógł w ich realizacji! – Jeśli rzeczywiście jest księciem z bajki, to będzie szukał właścicielki pantofelka

– pomyślała, zasypiając. – A jeżeli nie jest, to może szkoda, że go nie pocałowałam? Skąd wiadomo, kiedy trafi się następny kandydat na księcia?”.

Czwartek, 30 czerwca

I.

Minął prawie tydzień (dokładnie sześć dni bez siedemnastu godzin), Polska nie przegrała z Portugalią, ale odpadła przez głupiego karnego, a księżę wcale się nie kwapił do szukania właścicielki pantofelka. Może nawet nie zauważył, że Weronika czegoś zapomniała w panicznej ucieczce? A może uznał, że za taką wariatką nie warto się uganiać? Albo był przekonany, że zostawiła parasol specjalnie i nie miał ochoty grać w babskie gierki pod tytułem „ach, och, uciekam, szukaj mnie”?

No cóż, obustronna miłość od pierwszego wejrzenia czy, jak mówią Francuzi, *coup de foudre*, zdarza się tylko w książkach albo filmach. Trochę szkoda, ale przecież od początku wiedziała, że nic z tego nie będzie.

Rozczarowanie bolało, mimo że rozum tłumaczył miliony razy w ciągu każdego dnia, ile korzyści płynie z bycia singielką. Natrętne wspomnienia powracały już tylko przed snem i dość szybko udawało się je uciszyć.

Po co jej chłopak? Żeby siedział całymi dniami przed telewizorem? Jak to mówi matka: z pustego fotela jest więcej pożytku. Nie przynosi co prawda do domu marnych groszy, ale przynajmniej nie trzeba go karmić i tracić nerwów na skłonienie go do wykonania najprostszej czynności.

Nie musiałyby też wyzywać go od niedołęgów i nieudaczników, sprzątać po nim, a potem na niego narzekać.

Nie. Zdecydowanie lepiej jest liczyć wyłącznie na siebie. Tylko parasola szkoda.

Mecz skończył się z pół godziny temu, ale ojciec z Maksymem jeszcze zalegali w salonie, dyskutując zawzięcie. Nawet w swoim pokoju Weronika słyszała ich rozemocjonowane głosy. Ciekawe, co robi Wawrzyniec. Z kim dzieli pomeczowy smutek?

Może źle, że do niego nie zapukała pod pretekstem parasola? Kiedy zaczął się mecz, postanowiła iść na spacer. Wawrzyniec z pewnością oglądał, nie miała więc obaw, że się na niego natknie.

Ledwo wyszła z domu, osiedle zadrżało radosnym: „Jeest!”, a jej przypomniała się chwila, kiedy Polska awansowała do ćwierćfinału. Przez ułamek sekundy zapragnęła znaleźć się w tamtym mieszkaniu, nawet bezwiednie skrzyła w stronę sąsiedniego bloku, ale szybko wzięła się w garść. Wszystko przez to, że siedzi beczynnym w domu i marnuje wakacje. Matka wprawdzie obiecywała, że gdzieś pojedą całą rodziną, jak tylko weźmie urlop, przebąkiwała o wyjeździe zagranicznym, ale to dopiero za dwa tygodnie. Albo i później, bo pewnie w ostatniej chwili się okaże, że jeszcze ma coś ważnego do zrobienia, w czym nikt jej nie zastąpi, więc urlop trzeba przesunąć. Zawsze tak było. Nie ma sensu czekać. Musi wyjechać już teraz, jak najszybciej, gdziekolwiek, bo zwariuje. Tylko dokąd?

Najfajniej byłoby nad morze. Zwłaszcza że matka raczej wybierze jakiś Paryż, Madryt albo inną stolicę naszpikowaną muzeami, bo to „edukacyjne”. Albo pojedą do ciotki Danki do Niemiec, bo znów nie będzie miejsc w hotelach.

Słońce, plaża, kojący szum fal...

Przeliczyła w myślach posiadane fundusze. Na podróż starczy, na jedzenie też, jeśli nie będzie szaleć, najgorzej z noclegiem. Matka pewnie coś dorzuci, ale szkoda wydawać

wszystko na początku wakacji i potem być totalnie zależną od rodziców.

A gdyby wprosić się do wujostwa? Może pozwolą jej spędzić chociaż tydzień w Gdyni? Wprawdzie zajmowanie się młodszymi kuzynami to żadna przyjemność, ale wszystko wydaje się lepsze od siedzenia w domu i unikania spotkań z Wawrzyńcem na przemian z włóczęgiem się po osiedlu w nadziei, że się na niego natknie. Musi jak najszybciej się odkochać. A może na plaży w Gdyni pozna lekarstwo na to głupie zauroczenie?

Jeśli uda się jej dużo przebywać poza domem, to chyba nawet belferskie ciągotki wujka Grześka zdoła znieść. I on, i jego żona pracowali w szkole, ale tylko wujek miał zwyczaj robienia miniwykładów przy każdej okazji, a potem egzaminowania słuchaczy.

– Aaaaach! – jęknęło osiedle. – Oooo! – Czyli 1:1. Wujostwo pewnie oglądają mecz. Zadzwoni, kiedy się skończy.

Ale nie zadzwoniła, choć kilka razy sięgała po komórkę. Nie wypada o tak późnej porze. Weronika spojrzała na zaczęty SMS: „Czy mogłabym przy”. Nie, to bez sensu. Takie sprawy omawia się osobiście. Spróbuje rano.

Piątek, 1 lipca

1.

– Weronika?! No słowo daję, telepatia! – ucieszyła się wujenka. – Właśnie o was myślałam! Nie macie ochoty pomieszkać u nas przez jakiś tydzień albo dwa?

– Mama bierze urlop dopiero w połowie lipca, ale ja bardzo chętnie.

Wujenka zamilkła. Przytłumione dźwięki świadczyły, że omawia coś, zasłoniwszy słuchawkę.

– Maks przyjechałby z tobą? – zapytała po chwili.

Weronika się zawahała.

– Nie wiem – powiedziała ostrożnie. – Mam zapytać?

– Prawdę mówiąc – wujenka zniżyła głos – skoro Teresa nie może, to wołałabym, żebyś przyjechała sama. Wiesz, Maksio to fajny chłopak, bardzo go lubię, ale...

Urwała, pewnie szukając jak najdelikatniejszych określeń, lecz Weronika dobrze wiedziała, w czym problem. Chłopak, który nie ma zwyczaju sprzątać po sobie, nie jest mile widzianym gościem w wypieszczonym mieszkaniu wujostwa. Zwłaszcza bez żandarma w postaci matki – ona jedna była w stanie uświadomić mu, że talerze nie zmywają się same, i wyegzekwować po meczu odkurzenie pokoju z pokruszonych chipsów i orzeszków.

– Ja też wołałabym przyjechać bez niego – powiedziała szybko. Wakacje z Maksem to nie był szczyt jej marzeń. Pewnie tak jak dwa lata temu spaliby w pokoju bliźniaków, a Maks przez całą noc słuchałby muzyki przez słuchawki. I do tego chrapał.

– No to dobrze. – Wujenka wyraźnie odetchnęła. – To bardzo dobrze. Ale dzisiaj pewnie i tak nie dasz rady przyjechać? – Mówiła to takim tonem, jakby sama nie mogła się zdecydować, czy Weronikę namawiać, czy zniechęcać.

– Jeśli tylko będzie pociąg, to mogę nawet dziś.

– Naprawdę? Bo myślałam o Malwinie, ale skoro możesz, to już nie będę zawracać jej głowy. Ale musiałyś najpóźniej przed siedemnastą, bo po dziewiętnastej mamy samolot z Gdańska. Polska nie weszła do półfinału, więc jednak lecimy na Majorkę, miałam zaklepane bardzo atrakcyjne *last minute*, niesamowita okazja, co za szczęście, że Błaszczkowski nie strzelił tego gola! Modliłam się o to cały tydzień!

Tylko ktoś musiałby się zaopiekować domem i zwierzętami, dlatego...

– Oczywiście, bardzo chętnie! Zaopiekuję się! – Do Weroniki dopiero teraz dotarło, jakiego ma farta. Dwa tygodnie w Gdyni i całe mieszkanie dla niej! Bez Maksa, bez matki, bez ojca! Dobrze, że zatelefonowała tak wcześniej! „Bo myślałam o Malwinie”. Pewnie, własna siostra bliższa niż rodzina męża. Mało brakowało. – Zaraz sprawdzę połączenia i wyślę SMS, o której przyjeżdżam.

– Ale z dworca musiałabyś dotrzeć sama – zastrzegła wujenka. Czyżby zaczęła żałować, że się zgodziła?

– Tak, pamiętam drogę. 194, prawda?

– No to czekamy. Tylko bardzo proszę, nie spóźnij się, bo muszę ci przecież przekazać klucze i wyjaśnić, gdzie co jest.

– Zdążę! – Uśmiechnęła się do słuchawki. – Czy wujek mógłby w wolnej chwili zadzwonić do mamy i powiedzieć, że jestem potrzebna w Gdyni?

„Kochanemu braciszкови niczego nie odmówi – dodała w myślach, włączając komputer. – Zresztą kiedy wróci z pracy, ja już będę daleko. A jeśli nie ma pociągu, to pojedę czymkolwiek, choćby autostopem, stanę na rzesach, ale dotrę do Gdyni przed siedemnastą!”.

2.

Weronika nigdy w życiu tak szybko się nie pakowała. Pociąg odjeżdżał za niewiele ponad godzinę, bilet wprawdzie kupiła przez internet, ale pytanie, jak długo będzie się przepychać przez zakorkowany i rozkopany Poznań.

Ojciec w pracy, Maks oczywiście spał, więc nie uznała za stosowne informować go o swoim wyjeździe. A nuż nabrałby chęci jej towarzyszyć?

Zamknęła drzwi na klucz i szła w stronę przystanku tak szybko, jak pozwalała na to podskakująca na nierównym bruku walizka na kółkach. Trzeba było wziąć plecak. Szybciej i nie robiłaby tyle hałasu.

Dochodziła już do świateł, kiedy poczuła, że ktoś stanął obok niej.

– Cześć! – Wawrzyniec! Lekko zdyszany, jakby ją gonił. Skąd się tu wziął, i to akurat teraz?

– Cześć – odpowiedziała spokojnie, chociaż jej serce też chyba zaczęło ćwiczyć biegi, i to przełajowe, bo czuła je wszędzie: w gardle, tłukące się o zębra, przeskakujące przez żołądek...

– Wyjeżdżasz?

Skinęła głową. Głos ukrył się gdzieś przed szalejącym sercem i udawał, że go nie ma.

Zmieniły się światła. Ruszyła, chociaż każda noga ważyła chyba ze dwie tony.

– Na długo? – indagował Wawrzyniec.

Dotarła do krawężnika po drugiej stronie ulicy, a czuła się, jakby przepłynęła wzburzoną rzekę. Wzięła głęboki oddech.

– Masz mój parasol – wydusiła.

– Parasol? – Chłopak rozejrzał się dookoła.

– Zostawiłam u ciebie. Po meczu. – Nie patrzyła mu w oczy i chyba tylko dzięki temu mogła panować nad głosem.

– Ojej! Naprawdę? Zaraz ci...

– Nie! – Świadomość, że on teraz odejdzie i nie zobaczą się przez następne dwa tygodnie, nagle wydała się Weronice nie do zniesienia.

Zatrzymał się. Odwrócił. Nie zdążyła uciec przed jego spojrzeniem, ale tym razem patrzył na nią... zwyczajnie. Jak dawny kolega.

– Zaraz mam autobus. Nie zdążysz. – Słowa przychodziły coraz łatwiej, serce znowu wróciło na swoje miejsce.

- Pojedziesz następnym.
Potrząsnęła głową.
– O dziesiątej pięćdziesiąt mam pociąg do Gdyni.
– Do Gdyni... Kiedy wracasz?
– Nie wiem. – Co on ją tak wypytuje? – Za tydzień, dwa?
– Wzruszyła ramionami. – Jak mi się znudzi.
W oddali pojawiła się zielona sylwetka autobusu. Wawrzyniec też go zauważył.
– No to ci wyślę ten parasol do Gdyni. Podasz mi adres?

3.

– Czyś ty oszalała, dziewczyno?! – Głos matki nieprzyjemnie skrzeczał, tak że Weronika musiała odsunąć komórkę od ucha. Przeszła na koniec wagonu i stanęła obok toalety. Tu nikt nie usłyszy ich rozmowy. – Przecież za tydzień idę na urlop! Mówiłam przecież! Pomyślałam, że może pojedziemy do Francji? Nie chcesz zobaczyć Paryża?

Nie. Weronika wcale nie miała ochoty. Co za przyjemność łązić w upale po zatłoczonym mieście od muzeum do muzeum?

– Za tydzień? Mówiłaś, że w połowie lipca. Zdążę wrócić. Chcesz, żeby przez ciebie wujek Grzesiek musiał zrezygnować z urlopu? Wiesz, ile oni czekali na tę Majorkę? Ktoś musi karmić, nie wiem, co oni teraz mają, chomika?

– I ty już do nich jedziesz? – odezwała się mama nieco łagodniej. – Czemu nie powiedziałaś wcześniej? Zawiozłabyś coś, a nie tak z gębą na pączki.

Mama jeszcze trochę pozrządziła, ale Weronika wiedziała, że tylko dla formalności. Zresztą nie mogła gadać za długo, bo zaraz zaczynała się jakaś konferencja czy zebranie. Oni chyba w tym starostwie nie umieją żyć bez zebrań. Udzieliła

jej jeszcze miliona dobrych rad, przypomniwała o sprzątaniu po sobie i wreszcie się rozłączyła. Weronika schowała komórkę i wpatrzyła się w krajobraz za oknem. Trzeba się zbierać, niedługo Gdynia. Na niebie szarym jak oczy Wawrzyńca kłębiły się ciężkie grafitowe chmury. Ciekawe, czy przyśle jej parasol. Powinna mu była dać numer telefonu, a nie adres wujostwa. Ale przynajmniej zna teraz jej nazwisko. Jeśli będzie chciał, znajdzie ją także w Koziegłowach.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:

tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książka została wydrukowana na papierze

Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,0.

ZING

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*

Opieka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*

Redakcja ???

Korekta ????

Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-13247-5

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań